

SKROMNY GENIUSZ

Sergiusz Kładziejew urodził się na Wyspie Wasilewskiej. To było dziwne dziecko. Kiedy inne dzieci bawiły się w piasku, budowały z niego zamki i lepily babki, on kreślił na piasku części jakichś nieznanymi, niepojętymi maszyn. W drugiej klasie szkoły podstawowej skonstruował przenośny aparat zasilany baterijką od latarki. Ten aparat potrafił przepowiedzieć każdemu uczniowi, ile dwójek dostanie w danym tygodniu. Aparat został uznany za niepedagogiczny i dorośli odebrali go dziecku.

Po ukończeniu szkoły Sergiusz poszedł do technikum elektrotechnicznego. W tym technikum uczyło się całe mnóstwo ładnych dziewcząt, ale Sergiusz jakoś na żadną z nich nie zwracał uwagi — może dlatego, że widział je codziennie.

Aż kiedyś w czerwcu wypożyczył łódkę na przystani i spłynął Małą Newą do zatoki. Koło Wypły Wolnej zauważył łódkę z dwiema nieznanymi dziewczętami. Dziewczęta ugrzęzły na mieliźnie i w dodatku złamały wiosło, usiłując zepchnąć łódkę z owej mieliżny. Pomógł im wrócić na przystań, zaprzyjaźnił się z nimi i zaczął chodzić do nich w gościnę. Obie przyjaciółki też mieszkaly na Wasilewskiej — Swietłana przy Szóstej linii, a Lusia przy Jedenastej.

Lusia w tym czasie uczęszczała na kursy maszynopisania, a Swieta nigdzie się nie uczyła, gdyż uważała, że dziesięć klas zupełnie jej wystarczy. W dodatku miała zamożnych rodziców, którzy często jej powtarzali, że już najwyższy czas wydać się za mąż. W głębi serca zgadzała się z nimi, ale była zbyt wybredna i nie zamierzała wychodzić za pierwszego lepszego.

Z początku Sergiuszowi bardziej podobała się Lusia, ale nie wiedział, jak ma do niej podejść, jak ją sobie pozyskać. Lusia była tak piękna i skromna, tak bardzo krępowała się i starała pozostać na uboczu, że i Sergiusz zaczął się jej krępować. Natomiast Swieta była dziewczyną wesołą i pełną radości życia, była co się zowie swoją dziewczyną i Sergiusz czuł się przy niej dobrze i swobodnie, chociaż z natury, był nieśmiały.

Kiedy więc następnego roku w lipcu Sergiusz pojechał na wakacje do swego kolegi w Roźdiestwience, okazało się, że Swieta też tam przyjechała w odwiedziny do jakiegoś krewnego. To był szczęśliwy przypadek, ale Sergiuszowi wydało się, że jest to zrządzenie losu. Teraz codziennie chodził ze Swieta do lasu i nad jezioro i wkrótce nabrał przekonania, że bez Swiety nie może dłużej żyć.

On sam jednak niezbyt się podobał Swietłanie, która uważała go za człowieka do obrzydliwości zwyczajnego, a marzyła przecież o niezwykłym mężu. Z Sergiuszem chodziła do lasu i nad jezioro ot tak sobie, po prostu dlatego, że trzeba było przecież jakoś zabić czas, a we dwoje zrobić to łatwiej. Dla Sergiusza były to natomiast dni pełne szczęścia, gdyż wydawało mu się, że i on trochę się tej dziewczynie podoba.

Któregoś wieczoru stali razem nad brzegiem jeziora. Smuga księżycowego blasku, niczym chodnik utkany przez rusałki, leżała na gładkiej wodzie. Panowała niczym nie zmałona cisza, w której rozlegał się śpiew słowików, buszujących w krzewach dzikiego bzu na przeciwległym brzegu.

— Jak pięknie i cicho! — powiedział Sergiusz.

— Tak, całkiem przyzwoicie — odparła Swietłana. — Bombowy widok. Dobrze byłoby narwać bzu, ale brzegiem za daleko, a łódki nie mamy. Przez jezioro nie da się przejść suchą nogą.

Wrócili do osiedla i udali się każde do swego domu. Sergiusz jednak nie spał przez całą noc, tylko coś kreślił i liczył. Rano wyjechał do miasta i spędził tam dwa dni. Z miasta przywiózł jakieś zawiniątko.

Kiedy późnym wieczorem wybierali się nad jezioro, zabrał to zawiniątko ze sobą. Nad samą wodą rozwinął papier i wydobył z niego dwie pary specjalnych łyżew, na których można było ślizgać się po wodzie.

— Masz, włóż te łyżwy wodne — zwrócił się do Swietłany. — Wynalazłem je dla ciebie.

Włożyli te łyżwy i lekko pomknęli na nich po jeziorze w stronę przeciwległego brzegu. Dotarli tam, nałamali wielkie bukiety bzu i długo, długo ślizgali się z nimi po jeziorze zalanym księżycowym blaskiem.

Od tej pory co wieczór chodzili nad jezioro. Biegali; po lustrze wody na posuwistych wodnych łyżwach, które na srebrzystej toni zostawiały szybko rozpluwające się wąziutkie ślady.

Kiedyś na samym środku jeziora Sergiusz powstrzymał swój bieg. Swietłana również zahamowała i podjechała do niego.

— Święta, wiesz co? — powiedział Sergiusz.

— Nie wiem — odparła Swietłana. — O co chodzi?

— Rozumiesz, Święta, kocham cię.

— No tak, tego tylko brakowało! — powiedziała Swietłana.

— To znaczy, że zupełnie ci się nie podobam? — zapytał Sergiusz.

— Nie, dlaczego, jesteś chłopak całkiem do rzeczy, ale ja mam inny ideał. Pokocham tylko człowieka niezwykłego. A ty jesteś zwyczajny, uczciwie ci to mówię.

— Wiem, że mówisz uczciwie — powiedział smutnym tonem Sergiusz. W milczeniu wrócili na brzeg, a następnego dnia Sergiusz wyjechał do miasta. Przez jakiś czas wyglądał jak z krzyża zdjęty, wychudł i wiele spacerował po ulicach, a czasami wyjeżdżał za miasto i tam włóczył się bez celu. Wieczorami natomiast do późna krzątał się w swoim malutkim warsztaciku—laboratorium.

Pewnego razu na bulwarze koło sfinksów spotkał Lusię, która ucieszyła się na jego widok. Od razu to spostrzegł.

— Sierioża, co ty tu robisz? — zapytała.

— Po prostu spaceruję sobie. Bądź co bądź mamy wakacje. — Ja też po prostu spaceruję — wyznała Lusja. — Może wybierzemy się razem do Parku Kultury? — dodała i zaczerwieniła się.

Pojechali na Wyspę Jełagina i tam długo spacerowali alejami parku. Potem spotykali się jeszcze kilkakrotnie i włóczyli się razem po mieście. Dobrze im było ze sobą.

Któregoś dnia Lusja wpadła do Sergiusza, bo zamierzali pojechać do Pawłowska.

— Ależ u ciebie bałagan! — powiedziała Lusja. — Tyle rozmaitych kolb, aparatów... Po co ci to wszystko?

— W wolnych chwilach zajmuję się drobną wynalazczością — odparł Sergiusz.

— Tak? Nic mi o tym nie mówiłeś — zdziwiła się Lusja. — A może potrafisz naprawić moją maszynę do pisania? To taki stary grat kupiony w komisie... Czasami taśma się w niej zacina.

— Dobrze, wpadnę do ciebie i zobaczę, co się da zrobić.

— A co to jest? — zapytała Lusja. — Nigdy nie widziałam takiego dziwnego aparatu fotograficznego.

— To zwyczajny fed, tyle że z przystawką, którą niedawno skonstruowałem. Dzięki temu urządzeniu można fotografować przeszłość. Moja przystawka jest jednak bardzo niedoskonała, bo chwyta obraz najwyżej na trzy lata w przód.

— Ale i trzy lata to bardzo wiele! Dokonałeś wielkiego odkrycia!

— Nie przesadzaj! — machnął ręką Sergiusz. — To bardzo prymitywna zabawka.

— A masz już jakieś zdjęcia?

— Mam. Niedawno byłem za miastem i tam fotografowałem.

Sergiusz wyjął z szuflady biurka kilka zdjęć formatu dziewięć na dwanaście.

— Spójrz, tutaj sfotografowałem brzoźkę na łące w jej dzisiejszym stanie; bez przystawki. A na tej fotografii masz tę samą brzoźkę o dwa lata starszą.

— Trochę podrosła — powiedziała Lusia. — I gałązek jej przybyło.

— A tutaj widzisz ją w trzy lata później — Sergiusz pokazał Lusi kolejne zdjęcie.

— Ależ jej tu nie ma! — zdziwiła się Lusia. — Tylko jakiś pieniek, a obok niego jakiś lejowaty dół. A tam dalej, popatrz, biegną jacyś żołnierze. Są nisko pochyleni i ubrani w dziwne mundury... Nic nie rozumiem!

— Sam się zdziwiłem, kiedy wywołałem to zdjęcie — powiedział Sergiusz. — Prawdopodobnie, tak przynajmniej sędzę, w tym miejscu będą manewry wojskowe.

— Wiesz co, Sergiuszu, spal to zdjęcie. W tym kryje się jakaś tajemnica wojskowa. Co będzie, jeżeli zdjęcie trafi do rąk zagranicznego szpiega?!

— Masz rację, jakoś o tym nie pomyślałem.

Podarł zdjęcie, wrzucił do pieca, gdzie leżało już całe mnóstwo rozmaitych śmieci, i podpalił.

— Teraz będę spokojna — powiedziała Lusia. — A teraz sfotografuj mnie, jaka będę za rok. W tym fotelu pod oknem.

— Przystawka łapie tylko teren i to, co się na nim znajduje. Jeśli za rok nie będziesz siedziała w tym fotelu, to nie wyjdiesz na zdjęciu.

— Jednak spróbuj mnie sfotografować. A nuż za rok, dokładnie tego samego dnia i o tej samej godzinie będę siedziała w tym fotelu.

— Dobrze — odparł Sergiusz. — Mam akurat w aparacie błonę z jedną wolną klatką.

I sfotografował Lusię w fotelu z jednorocznym wyprzedzeniem.

— Wiesz co? — powiedział. — Od razu wywołam błonę i zrobię odbitkę. Dziś nasza łazienka jest wolna, bo nikt nie robi wielkiego prania. Poszedł do łazienki, przewinął błonę, załadował ją do ebonitowego koreksu i wywołał, po czym przyniósł błonę do pokoju, aby wyschła na sznurku pod oknem.

Lusia wzięła błonę za brzeg i obejrzała pod światło ostatnią klatkę. Na negatywie trudno się rozpoznać — ale mimo to wydało się jej, że na zdjęciu w fotelu siedzi nie ona, a bardzo pragnęła, żeby w fotelu za rok siedziała właśnie ona. Nie — pomyślała wreszcie — to chyba jednak ja, tylko źle wyszłam na fotografii.

Kiedy błona wyschła, poszli oboje do łazienki, gdzie paliła się czerwona żarówka, Sergiusz włożył błonę do powiększalnika, włączył światło i obraz zogniskowany w obiektywie przyrządu padł na papier fotograficzny. Szybko wrzucił zdjęcie do wywoływacza i papierze zaczął ukazywać się zarys postaci kobiecej w fotelu. To była zupełnie nieznaną kobietą, która trzymała na kolanach kawał sukna, na którym wyszywała wielkiego kota. Kot był prawie gotowy. Brakowało mu tylko ogona.

— To nie ja tu siedzę — powiedziała Lusia z rozczarowaniem w głosie. — Jakaś zupełnie inna kobieta!...

— Tak, to nie jesteś ty — powiedział Sergiusz. — Ale nie wiem, kto to jest. Ja tej kobiety nigdy w życiu nie widziałem.

— Wiesz co, Sergiuszu, muszę już iść do domu — powiedziała Lusia. — Możesz do mnie nie przychodzić. Swoją maszynę oddam do naprawy mechanikowi.

— Wobec tego pozwól przynajmniej, żebym cię odprowadził!

— Nie, Sergiuszu, nie trzeba. Nie chcę wtrącać się do twojego życia.

I wyszła.

Moje wynalazki jakoś nie przynoszą mi szczęścia, pomyślał Sergiusz, po czym wziął młotek i rozbił pechową przystawkę.

W jakieś dwa miesiące później Sergiusz Kładziejew spacerował Wielkim Bulwarem. W pewnej chwili zobaczył młodą kobietę siedzącą na ławce i rozpoznał w niej tę nieznaną, która wyszła na jego zdjęciu.

— Przepraszam, która teraz może być godzina? — zwróciła się do niego nieznaną.

Sergiusz udzielił na to pytanie precyzyjnej odpowiedzi i przysiadł się do młodej kobiety. Nawiązał z nią rozmowę o leningradzkiej pogodzie, a następnie przedstawił się. Dziewczyna też się przedstawiła. Miała na imię Tamara. Zaczęli się spotykać i wkrótce pobrali.

Niebawem urodził się syn, któremu Tamara nadała imię Alfred.

Tamara okazała się niewiastą dość nudną. Właściwie niczym się nie interesowała, tylko wciąż siedziała w fotelu pod oknem i wyszywała na kilimkach koty, łabędzie i jelenie, które potem dumnie rozwieszała na wszystkich ścianach. Sergiusza nie kochała i wyszła za niego za męża tylko dlatego, że miał własny pokój, a poza tym dlatego, że ukończyła wyższą szkołę hodowli koni i nie chciała jechać na prowincję. Kobiety zamężnej nikt nie miał prawa na prowincję wysłać.

Skoro Tamara była kobietą nudną, to Sergiusza uważała za człowieka nudnego, nieinteresującego i tuzinkowego. Nie podobało się jej, że mąż w wolnych chwilach zajmuje się wynalazczością, co jej zdaniem było zwyczajnym marnotrawieniem czasu. Nieustannie gderała i wymyślała mu za to, że zagraca pokój swoimi aparatami i narzędziami.

Aby rozluźnić pokój, Sergiusz skonstruował AUDL — niewielkie Antygrawitacyjne Urządzenie o Działaniu Lokalnym. Teraz dzięki AUDL-owi mógł pracować na suficie. Nakleił na suficie dębowy parkiet, postawił tam swój stolik warsztatowy i umieścił wszystkie narzędzia, żeby nie brudzić ściany przy wchodzeniu na sufit, Sergiusz zrobił na niej wąski chodniczek z linoleum. Po takim przemeblowaniu dół pokoju należał do żony, a góra stała się pracownią i laboratorium Sergiusza.

Ale Tamara wciąż była niezadowolona. Zaczęła się teraz obawiać, że o wszystkim dowie się kwaterunek i że względu na zwiększenie powierzchni mieszkalnej podwyższą komorne. Poza tym nie podobało się jej, że Sergiusz jak nigdy nic chodzi sobie po suficie. Uważała to po prostu za nieprzyzwoite.

— Choćby przez szacunek dla mojego wyższego wykształcenia mógłbyś nie chodzić do góry nogami — mówiła do niego z dołu, siedząc na fotelu. — Wszystkie żony mają za mężów normalnych ludzi i tylko mnie taki fełerny się trafił!

Po powrocie z pracy (pracował teraz jako technik rewident w elektrowni) Sergiusz jadł szybko obiad i szedł po ścianie do siebie na górę, do pracowni — laboratorium, a czasami wyruszał na miasto i w okolice, gdzie spacerował, żeby tylko nie wysłuchiwać ciągłego gderania Tamary. Nabrał takiej wprawy w pieszych marszach, że bez najmniejszego trudu docierał do Pawłowska albo do Lisiego Nosa. Któregoś dnia na rogu Ósmej linii i Średniego Prospektu spotkał Świetlanę.

— A ja wyszłam za męża za niezwyklego człowieka — oświadczyła bez żadnych wstępów Świetłana. — Mój Pietia jest prawdziwym wynalazcą. Na razie zajmuje stanowisko młodszego wynalazcy w kombinacie naukowo-badawczym „Wszystko dla domu”, ale wkrótce awansuje na średniego wynalazcę. Pietia ma już na swym koncie samodzielny wynalazek. Jest nim mydło „Nie kradnij!”

— A co to za mydło? — zapytał Sergiusz.

— Jest to mydło niezwykle proste w zamyśle, wszak każda genialna idea jest prosta. „Nie kradnij!” jest zwyczajnym mydłem toaletowym, w którego środku znajduje się kostka

niezmywalnego tłuszczu. Jeśli ktoś, na przykład sąsiad ze wspólnego mieszkania, ukradnie nam mydło i spróbuje go użyć, to natychmiast zbruka się cały fizycznie i moralnie.

— A jeśli tego mydła nikt nie ukradnie? — zapytał Sergiusz.

— Nie zadawaj głupich pytań! — zirytowała się Swietłana. — Chyba po prostu zazdrościsz Pieti.

— A Lusię widzisz? — zapytał Sergiusz. — Co tam u niej?

— U Lusi wszystko po staremu. Radzę jej, żeby znalazła sobie jakiegoś odpowiedniego niezwykłego człowieka i wyszła za niego za męża, ale ona na to nic nie odpowiada. Widocznie chce zostać starą panną.

Wkrótce zaczęła się wojna.

Tamara z synem została ewakuowana, a Sergiusz Kładieżew poszedł na front. Z początku był młodszym lejtnantem piechoty, a wojnę zakończył w randze starszego lejtnanta. Był dwukrotnie ranny, ale na szczęście lekko. Również na froncie zastanawiał się nad różnymi wynalazkami, ale nie miał ani materiałów, ani laboratorium, w którym mógłby swoje pomysły zrealizować. Po zakończeniu wojny wrócił do Leningradu, zmienił mundur na cywilne ubranie i ponownie zaczął pracować w elektrowni. Wkrótce też powróciła z ewakuacji Tamara z synem Alfredem, i życie popłynęło po staremu. A lata biegły.

Tak, lata biegły.

Syn Alfred dorósł, ukończył szkołę średnią i zapisał się na przyspieszony kurs hotelarski. Niebawem wyjechał na Południe i znalazł sobie pracę w hotelu.

Tamara nadal wyszywała atłaskiem koty, łabędzie i jelenie. Zrobiła się jeszcze nudniejsza i gderliwsza. Poza tym poznała pewnego emerytowanego dyrektora stanu wolnego i wciąż odgrażała się, że rzuci Sergiusza i odejdzie do tego dyrektora, jeśli Sergiusz nie zmańdrzeje i nie przestanie tracić czasu na swoją wynalazczość.

Swietłana nadal była bardzo zadowolona ze swojego Pieti. Pietia awansował i teraz zajmował już stanowisko średniego wynalazcy. Skonstruował nawet czworokątne szprychy rowerowe, które miały zastąpić stosowane dotychczas szprychy okrągłe. Swietłana była z niego bardzo dumna.

Lusia, jak przed wojną, mieszkała na Wyspie Wasilewskiej i pracowała jako maszynistka w instytucji zajmującej się planowaniem produkcji i projektowaniem części zapasowych do fortepianów. Nie wyszła za męża i często wspominała Sergiusza. Pewnego razu zobaczyła go z daleka na ulicy, kiedy szedł Siódmą linią do kina „Bałtyk” z żoną pod rękę. Lusia od razu poznała tę kobietę z pamiętnej fotografii.

Sergiusz też bardzo często wspominał Lusię i żeby myśleć o niej jak najmniej, jeszcze intensywniej zajmował się wynalazczością. Ponieważ nie posiadał żadnego stopnia naukowego, to nikt na jego odkrycia nie zwracał szczególnej uwagi. Sam Sergiusz zresztą nie usiłował forsować własnych wynalazków, bo uważał je za niedojrzałe, niewiele warte, a jak wiadomo — jeśli nie potrafisz, nie pchaj się na afisz. Wynalazł na przykład któtniomierz przerywacz i zainstalował go w kuchni wielorodzinnego mieszkania, w którym miał pokój. Przyrząd ten miał dwudziestostopniową skalę i mierzył nastroje mieszkańców oraz intensywność kłótni, jeśli takowa wybuchała. Na dźwięk pierwszego ostrzejszego słowa wskazówka aparatu zaczynała drgać i stopniowo przesuwając się w kierunku czerwonej kreski. Kiedy do niej docierała, włączał się przerywacz kłótni: Rozlegała się cicha, uspokajająca muzyka, automatyczny rozpylacz wyrzucał z siebie mieszaninę waleriany i perfum „Biała noc”, a na ekranie ukazywał się śmieszny człowieczek, który kłaniał się publiczności i wołał: „Obywatele, życie w zgodzie!” W ten sposób kłótnie były likwidowane w zarodku, a wszyscy mieszkańcy byli wdzięczni Sergiuszowi za jego skromny wynalazek.

Sergiusz wynalazł też płaską soczewkę. W sobie tylko znany sposób przekonstruował kawałek szyby i nadał jej właściwości niezmiernie silnego teleskopu. Wstawił tę szybę w okno swego pokoju i dzięki temu mógł obserwować kanały na Marsie, kratery na Księżycu i burze na Wenus. Kiedy Tamara zaczynała go piłować, wtedy patrzył na odległe światy i odzyskiwał spokój.

Wszystkie te wynalazki nie przynosiły jednak żadnej korzyści praktycznej. Poza jednym. Sergiusz odkrył sposób przekształcania wody w benzynę, którą to benzyną napełniał zapalniczkę, a ponieważ dużo palił, to w ten sposób oszczędzał sobie poważnych wydatków na zapalki. Tak w ogóle, to żyło mu się niezbyt wesoło — ani Tamara, ani syn Alfred nie dawali mu żadnych powodów do radości.

Kiedy Alfred przyjeżdżał do Leningradu, to rozmawiał przede wszystkim z Tamarą.

— No i jak ci się żyje? — pytał ją.

— Co to za życie... — odpowiadała Tamara. — Moją jedyną pociechą jest sztuka. Popatrz, jakiego jelenia wyszywam.

— Jeleń jak trza! — wykrzykiwał Alfred. — Jak żywy! I rogi jak u byka. Gdybym ja miał takie rogi, daleko bym zaszedł!

— A twój ojciec zupełnie nie rozumie sztuki. Ciągłe by tylko coś wynajdywał i wynajdywał. Żadnego pożytku z człowieka.

— Za to niepijący, a to trzeba cenić — pocieszył ją syn. — Wprawdzie niewiele w życiu osiągnął, ale może jeszcze pójdzie po rozum do głowy. Kiedy się popatrzy na tych, co to mieszkają po hotelach, aż przykro się robi, że z ojca taki ciapa. Ten jest kierownikiem zaopatrzenia, tamten cudzoziemcem, ów pracownikiem naukowym. Niedawno pewien docent mieszkał u nas w apartamencie... To jest człowiek! Napisał biografię Puszkina. Ma podmiejską willę, samochód.

— Gdzie mi tam z takim mężem marzyć o willach — narzekała dalej Tamara. — Znudził mi się! Chcę się rozejść.

— A masz kogoś na oku?

— Mam tu jednego emerytowanego dyrektora. Kawaler, który ceni sztukę. Podarowałam mu wyhaftowanego łabędzia, to ucieszył się jak dziecko. Z takim człowiekiem nie zginie.

— A czego on był dyrektorem? Może hotelu?

— On był dyrektorem cementarza. To człowiek poważny, delikatny.

— Stanowisko zobowiązuje — powiedział ze zrozumieniem syn.

Któregoś czerwcowego dnia Sergiusz Kładziejew przez cały wieczór pracował na swoim suficie nad pewnym nowym wynalazkiem. Nie zdawał sobie sprawy z upływu czasu, a kiedy zerknął wreszcie na zegarek, stwierdził, że jest już późno. Wówczas położył się spać, ale przed snem zapomniał nakręcić budzik i zasnął, postanowił więc tego dnia nie iść do pracy. To była jego pierwsza i ostatnia nieobecność.

— Doigrasz się z tą swoją wynalazczością! — zbeształa go Tamara. — Żebyś przynajmniej zbumelował jak ludzie, dla interesu, dla zarobku! Ale nie. Tyle z ciebie pożytku, co z psa gnoju.

— Nie denerwuj się, Tamaro, wszystko będzie dobrze — powiedział miękko Sergiusz. — Niedługo dostanę urlop i pojedziemy nad Wołgę, popłyniemy statkiem.

— A na co mi twoje groszowe podróże! — krzyknęła Tamara. — Lepiej byś się wybrał za swoje plecy i posłuchał, co ludzie o tobie gadają za twoimi plecami! Wszyscy się z ciebie śmieją, wszyscy uważają za kompletnego idiotę.

Ze złością zdarła ze ściany kilimek z wizerunkiem kota i wyszła z domu.

Sergiusz został w pokoju i zaczął się zastanawiać nad jej słowami. Długo tak rozmyślał, a potem postanowił wybrać się w podróż za własne plecy, jak radziła mu żona.

Mógł to zrobić bez najmniejszego trudu, bo dawno już wynalazł Agregat Niewidocznej Obecności — ANO o zasięgu zaledwie trzydziestu pięciu kilometrów. Sergiusz nie używał tego aparatu do obserwacji życia w mieście, gdyż uważał to za nieetyczne — zaglądać do cudzych mieszkań, podpatrywać cudze życie. Czasami jednak dostrajał się do najbliższych okolic podmiejskich i słuchał śpiewu ptaków, patrzył, jak powstają ich gniazda.

A teraz postanowił użyć ANO na terenie miasta. Włączył zasilanie, a następnie delikatnie, o jedną podziałkę, obrócił gałkę odległościomierza, zaś antenę—szperacz skierował w stronę kuchni wielorodzinnego mieszkania, w którym zajmował pokój. Dwie sąsiadki stały przy kuchence gazowej i rozmawiały o różnych obojętnych sprawach. Potem jedna z nich powiedziała:

— A Tamara znów poszła do dyrektora. Nie ma baba wstydu!

— Żal mi Sergiusza Władimirowicza! — powiedziała druga sąsiadka. — Taki porządny człowiek i marnuje się przez żonę. On przecież jest bardzo mądry.

— Zgadzam się z panią — odparła na to pierwsza. — Od razu widać, że człowiek porządny i bardzo mądry, tylko życie mu się nie układa.

Sergiusz odstroił się od kuchni i skierował antenę na biura elektrowni. Długo błądził po obcych mieszkaniach, biurach i sklepach, aż wreszcie znalazł swoją instytucję. Na ekranie ukazał się pokój, w którym zazwyczaj pracował. Koledzy z pracy pili akurat herbatę i jedli kanapki, gdyż trwała właśnie przerwa obiadowa.

— Czy aby naszemu Sergiuszowi Władimirowiczowi coś złego się nie stało? — powiedział jeden z kolegów. — Taki porządny i solidny człowiek nie mógł przecież bez powodu zbumelować! Na pewno zachorował. Szkoda, że w jego mieszkaniu nie ma telefonu i nie można do niego zadzwonić.

— Bez niego jakoś tu u nas pusto — powiedział drugi. — To bardzo przyzwoity człowiek, nie ma dwóch zdań. — Bardzo przyzwoity i dobry — zgodził się trzeci. — Szkoda tylko, że trafiła mu się taka paskudna żona. Typowa mieszcanka. A on za nią świata bożego nie widzi.

Sergiusz wyłączył ANO i znów się zamyślił. Wspomniał Lusię i bardzo zapragnął ją zobaczyć, chociaż na moment.

Wtedy znów uruchomił aparat i zaczął szukać Lusi, szukać jej pokoju na piątym piętrze domu przy Jedenastej linii Wyspy Wasilewskiej. Ale może ona już tam nie mieszka? zastanawiał się. Może już dawno wyszła za mąż i przeprowadziła się? Albo zwyczajnie przeniosła się do innego mieszkania?

Na ekranie ukazywały się cudze pokoje, nieznanymi ludziami, wyrwane z przestrzeni strzępki cudzego życia... Aż wreszcie odnalazło się mieszkanie Lusi. Nie było jej w pokoju, ale to z pewnością był właśnie jej pokój. Meble były te same — i ten sam obraz wisiał na ścianie, a na stoliku stała maszyna do pisania. Sergiusz uspokoił się. Lusia po prostu była w pracy.

Wówczas zaczął nastrojać ANO na dom Swietłany: ciekawe, co tam u niej? Odszukał ją dość szybko. W mieszkaniu było wiele nowych sprzętów, Swietłana zaś zestarzała się i jej promienne imię zupełnie teraz do niej nie pasowało. Wyglądała jednak na osobę zdrową i zadowoloną z życia.

Nagle rozległ się dzwonek do drzwi. Swietłana poszła otworzyć.

— Witaj, Lusińko! — wykrzyknęła. — Dawno już u mnie nie byłaś!

— Wpadłam tylko na chwilę, żeby zobaczyć, co u ciebie słychać. Mam akurat przerwę obiadową — powiedziała Lusia, i Sergiusz zobaczył ją wchodzącą do pokoju. Lusia też nie odmłodziła przez te lata, ale nadal była sympatyczna i przystojna.

Kobiety usiadły i zaczęły rozmawiać o różnych sprawach.

— A za mąż nie wychodzisz? — zapytała nagle Swietłana. — Przecież możesz sobie jeszcze znaleźć całkiem niezłego, starszego wiekiem męża.

— Nie, nie mam zamiaru nikogo szukać — odparła smutnym głosem Lusia. — Przecież ten, który mi się podoba, już od dawna jest żonaty.

— Mówisz wciąż o tym Sergiuszu?! — wykrzyknęła Swietłana. — I co ty w nim widzisz? To przecież zupełnie zwyczajny człowiek. Taki prochu nie wymyśli... Inna rzecz, że kiedyś był z niego całkiem miły chłopak. Pamiętam, że podarował mi łyżwy wodne. Jeździłam z nim na tych łyżwach po jeziorze. Na brzegu gwizdzą słowiki, ludzie chrapią w swoich letniskach, a my pędzimy po wodzie, pokazujemy klasę.

— Nie wiedziałam nawet, że on takie łyżwy wymyślił — powiedziała Lusia w zadumie. — Masz je może jeszcze w domu?

— Nie, coś ty! Mój Pietia dawno już sprzedał je na złom. Powiedział, że to nic niewarte. Pietia jest przecież prawdziwym wynalazcą i zna się na takich rzeczach.

— A jak tam u niego w pracy? — zapytała Lusia.

— Wszystko w najlepszym porządku. Skonstruował niedawno Uniwersalny Aparat do Otwierania Konserw. To niesłychanie błyskotliwy wzlot myśli technicznej. Teraz gospodynie domowe i samotni kawalerowie nie będą musieli się męczyć z otwieraniem puszek.

— Nie masz przypadkiem tego aparatu? — zapytała Lusia. — Ciekawa jestem, jak wygląda.

— Nie mam go i nie będę miała. To urządzenie będzie ważyło pięć ton i musi stać na betonowym fundamencie. A kosztować będzie czterysta tysięcy nowych rubli.

— No to która gospodyni będzie mogła sobie pozwolić na kupno takiego aparatu? — zdziwiła się Lusia.

— Mój Boże, ale ty jesteś nierozgarnięta! — wykrzyknęła Swietłana. — Żadna gospodyni nie musi kupować tego aparatu, bo jeden wystarczy na całe miasto. Zainstaluje się go gdzieś w śródmieściu, na przykład na Newskim Prospekcie. Powstanie tam COMOK — Centralny Ośrodek Miejski Otwierania Konserw. To bardzo wygodne rozwiązanie. Powiedzmy, że przyszli do ciebie goście, i musisz im otworzyć puszkę szprotek. Nie musisz mieć w domu nożyka do konserw ani żadnego innego narzędzia. Po prostu bierzesz swoją puszkę, szybko wychodzisz na ulicę i jedziesz do COMOK-u. Tam oddajesz puszkę rejestratorce, płacisz pięć kopiejek i otrzymujesz pokwitowanie. Rejestratorka nakleja na puszkę etykietkę i stawiają na przenośniku, a ty idziesz sobie do poczekalni, siadasz w fotelu i oglądasz krótkometrażowy film na tematy konserwowe. Wkrótce wzywają cię do okienka, gdzie po okazaniu pokwitowania otrzymujesz otwartą puszkę i spokojniutko jedziesz do domu na Wyspę Wasilewską. Wygodne, nieprawdaż?

— Czyżby ten projekt naprawdę miał zostać zrealizowany? — zapytała Lusia.

— Pietia bardzo na to liczy — odparła Swietłana. — Ale ostatnio dorobił się wielu wrogów i zawistników, którzy przeszkadzają w urzeczywistnieniu jego wynalazków. Po prostu mu zazdroszczą. A Pietia nikomu nie zazdrości, bo wie, że jest człowiekiem niezwykłym i to w dodatku człowiekiem sprawiedliwym. Przecież niezmiernie szanuje pewnego wynalazcę, tego, który wynalazł i wprowadził do przemysłu korek „Pij do dna”.

— A co to za korek?

— Nie widziałaś, jak teraz korkuje się wódkę? Tak jest, taki kapselek z jęczyczkiem. Wystarczy pociągnąć za jęczyzek, żeby miękki metal rozdarł się — i butelka jest już otwarta. Z powrotem nie da się już zatkać, więc chcąc nie chcąc trzeba ją wypić do dna. To również jest wspaniałe osiągnięcie myśli technicznej.

— A mnie łyżwy wodne bardziej się podobają — powiedziała Lusia. — Jak ja bym chciała białą nocą pomknąć na takich łyżwach przez zatokę!

— Ale ci się udało z tymi łyżwami — uśmiechnęła się pobłaźliwie Swietłana. — Mnie i Pieti coś takiego nie jest potrzebne do szczęścia.

Sergiusz wyłączył ANO i znów się zamyślił. Po chwili powziął pewne postanowienie.

Tego samego wieczoru Sergiusz Kładziejew odnalazł na dnie starej walizki swoją parę łyżew wodnych, a potem nalał wody do wanny i wypróbował w niej ich działanie. Łyżwy nie utraciły swoich cudownych właściwości i ślizgały się po wodzie równie lekko, jak wiele lat temu.

Potem do późna w noc w swojej pracowni-laboratorium na suficie robił drugą parę łyżew wodnych dla Lusi.

Następnego dnia, a była to niedziela, Sergiusz wybrał się na poranny spacer, a gdy z niego wrócił, Tamary już w domu nie było, a na ścianie brakowało następnego kilimka — tym razem z jeleniem. Tamara poszła z nim do emerytowanego dyrektora.

Sergiusz włożył odświętny szary garnitur i zawiązał w gazetę obie pary łyżew. Następnie wsunął do kieszeni rozpylacz i flakonik płynu WWNP (Wielokrotny Wzmacniacz Napięcia Powierzchniowego). Ubranie skropione tym płynem swobodnie utrzymuje człowieka na wodzie.

Wreszcie Sergiusz Kładziejew otworzył wielką szafę i wydobyl z niej SEPO-X (Słoneczno-Energetyczny Przyrząd Optyczny szczególnego przeznaczenia). W swoim czasie przyrząd ten kosztował go wiele wysiłku, ale też był to jego najważniejszy wynalazek. Ukończył go dwa lata temu, ale do tej pory ani razu nie użył. Chodzi o to, że SEPO-X mógł przywrócić człowiekowi młodość, a przez wszystkie te lata Sergiusz wcale nie pragnął powrotu młodości, gdyż musiałby przywrócić młodość również i Tamarze i rozpocząć z nią nowe życie. A zupełnie wystarczyło mu jedno życie z nią. Poza tym obawiał się niezmierniej energochłonności tego urządzenia. Wskutek owej energochłonności — pracy SEPO-X winny towarzyszyć pewne zjawiska natury kosmicznej, a Sergiusz nie uważał się za dość ważną osobę, aby wywoływać takie zjawiska.

Jednak teraz, zważywszy wszystkie za i przeciw, postanowił użyć przyrządu. Wziął więc SEPO-X pod pachę razem z łyżwami wodnymi i opuścił dom.

Ruszył swoją ulicą i wkrótce dotarł do Średniego Prospektu Wyspy Wasilewskiej. Na rogu Piątej linii wszedł do sklepu ze słodyczami, kupił butelkę szampana i pudełko czekoladek, po czym poszedł dalej. Skręcił w Jedenastą linię i wkrótce znalazł się koło domu, w którym mieszkała Lusia. Wdrapał się na piąte piętro i zadzwonił. Dwa razy długo i raz krótko.

Drzwi otworzyła mu Lusia.

— Dzień dobry, Lusi! — powiedział. — Jak dawno się nie widzieliśmy!...

— Bardzo dawno!... — odpowiedziała Lusia. — Ale nie wiedzieć czemu czekałam i wierzyłam, że kiedyś przyjdiesz.

Weszli do jej pokoju, pili szampana i wspominali to, co było przed wieloma laty.

— Ach, chciałabym teraz przywrócić młodość i zacząć życie od początku! — wykrzyknęła nagle Lusia.

— Możemy to zrobić — powiedział Sergiusz i postawił na stole SEPO-X, który był nie większy od przenośnego radia zaopatrzonego w dość gruby przewód.

— On ma zasilanie sieciowe? — zapytała Lusia. — Uważaj, żeby się nie przepalił, bo w naszym domu od niedawna jest napięcie dwieście dwadzieścia woltów.

— Nie. SEPO-X nie ma zasilania sieciowego — odparł Sergiusz. — Nie wystarczyłoby mu nawet tysiąc Dnieprogesów. On bierze energię wprost ze Słońca. Otwórz, z łaski swojej, okno.

Lusia otworzyła okno na oścież, a Sergiusz rozciągnął przewód zakończony niewielkim wklęsłym lusterkiem. Położył je na parapecie w ten sposób, że było skierowane na Słońce.

Potem podszedł do SEPO-X i nacisnął klawisz.

W aparacie zaczęło potrzaskiwać i natychmiast Słońce osłabiło blask jak żarówka, gdy spada napięcie w sieci. W pokoju zapadł półmrok.

Lusia podeszła do okna i spojrzała na miasto.

— Sergiuszu, co to?! — zdziwiła się. — Wydaje mi się, że zaczyna się zaćmienie Słońca. Cała Wyspa Wasilewska kryje się w mroku. Dalej też zaczyna robić się ciemno.

— Teraz zmierzcha się na całej Ziemi i na Marsie, i na Wenus — odparł Sergiusz. — Przyrząd pochłania wiele energii.

— Takiego aparatu raczej nie należy produkować — powiedziała Lusia. — Bo inaczej wszyscy zaczęliby przywracać sobie młodość i wciąż byłoby ciemno.

— Tak — potwierdził Sergiusz. — Jest to przyrząd indywidualnego jednorazowego użytku. Skonstruowałem go tylko dla ciebie i z myślą o tobie. A teraz usiądźmy i posiedźmy spokojnie przez chwilę.

Usiedli na starej pluszowej kanapce, wzięli się za ręce i zaczęli czekać. Za oknem i w pokoju robiło się coraz ciemniej. Samochody na ulicach włączyły reflektory.

— Aż trudno uwierzyć, że teraz jest pierwsza po południu — powiedziała w zadumie Lusia. — Dziwne...

— Tak, to z pewnością może wydać się dziwne — odparł Sergiusz. — Mnie nie, ale wszystkim pozostałym ludziom musi to wydawać się dziwne. Żeby przywrócić młodość, potrzebne są bardzo duże nakłady energetyczne.

Tymczasem dokoła ściemniło się tak, jakby zapadała noc. W mieście zapłonęły światła w oknach, zapaliły się latarnie uliczne. W pokoju zrobiło się zupełnie ciemno, tylko przewód łączący lustro leżące na parapecie z SEPO-X świecił błękitnym blaskiem i wibrował jak wąż gumowy, przez który z ogromną prędkością przeciska się jakiś płyn.

Nagle w aparacie coś głośno trzasnęło i na jego przedniej ścianie otworzyło się kwadratowe okienko. Wsunęła się z niego sztabka zielonkawego światła, która wyglądała jak odrębna i wisiała swobodnie w powietrzu. Ta sztabka światła, przypominającego ciało stałe, zaczęła po chwili wolno się wydłużać, aż oparła się o ścianę, na której wisiał obraz przedstawiający wieprza pod dębem — ilustracja do bajki Kryłowa. Wieprz na obrazku natychmiast zamienił się w prosiaczka, a rozłożył dąb — w młodziutkie drzewko.

Promień światła powoli i niepewnie zaczął przesuwać się po pokoju, jakby szukał na ślepo Lusi i Sergiusza. Tam, gdzie dotykał ścian, stare wypłowiałe tapety odzyskiwały dawną barwę i wyglądały jak nowe. Sędziwy szary kot drzemający na komodzie zamienił się w kociaka i zaczął bawić się własnym ogonem. Mucha, która znalazła się na drodze promienia, przekształciła się w larwę muchy i spadła na podłogę.

Wreszcie promień-sztabka zbliżył się do Sergiusza i Lusi. Prześliznął się po ich głowach, twarzach, nogach i reszcie ciała. Nad ich głowami wyrosły dwa świetliste półkola przypominające aureole świętych.

— Aj, łaskocze mnie w głowę! — roześmiała się Lusia.

— Nie przejmuj się — powiedział Sergiusz. — To tylko siwe włosy odzyskują dawny kolor. Mnie też łaskocze w głowę.

— Ach! — wykrzyknęła Lusia. — Mam w ustach coś gorącego!

— Pewnie masz złote korony na zębach? — zapytał Sergiusz.

— Tylko dwie — odparła Lusia.

— Koronki młodym zębom są niepotrzebne i dlatego rozpadają się na proszek — wyjaśnił Sergiusz. — Wydmuchnij ten kurz.

Lusia złożyła wargi w trąbkę, jak to robią początkujący palacze, i wydmuchnęła z ust złoty pył.

— Wydaje mi się, że kanapa się pod nami unosi — powiedziała nagle.

— Sprężyny się prostują, bo robimy się lżejsi. Trochę przecież przez te lata utyliśmy.

— Masz rację, Sierioża — zgodziła się Lusia. — Ale teraz czuję się lekka jak wówczas, kiedy miałam dwadzieścia lat.

— Bo masz teraz dwadzieścia lat — powiedział Sergiusz. — Powróciliśmy do czasów młodości.

W tym samym momencie SEPO-X gwałtownie zadygotał, zadudnił i zapłonął. Zniknął, a na stole została tylko garstka niebieskiego popiołu. Zaraz potem zaczęło się rozwidniać. Kierowcy wyłączyli reflektory, zgasły latarnie na ulicach i światło w oknach, bo nie było już teraz potrzebne. Słońce znów świeciło pełnym lipcowym blaskiem.

Lusia wstała, przejrzała się w lustrze i uśmiechnęła się.

— Sierioza, chodźmy gdzieś na spacer — powiedziała. — Na przykład na Wyspę Jełagina.

Sergiusz wziął zawiniątko z łyżwami wodnymi, ujął Lusię pod rękę i wyszedł z nią z mieszkania. Lekko zbiegli po schodach na dół, na ulicę. Na Średnim Prospekcie wskoczyli do tramwaju i pojechali do Parku Kultury. Tam spacerowali alejkami, jeździli na karuzeli, huścili się na huśtawce i zjedli po dwa obiady w barze na świeżym powietrzu.

Kiedy zapadła cicha biała noc i park opustoszał, wtedy poszli na brzeg zatoki. Na morzu był sztil i zagle jachtów nieruchomo majaczyły w oddali, koło Wyspy Wolnej. Na wodzie nie było jednej choćby zmarszczki.

— Znakomita pogoda — powiedział Sergiusz i rozpakował łyżwy wodne. Pomógł Lusi przymocować je do pantofelek, a potem włożył swoje.

Stanęli na wodzie zatoki i lekko pobiegli w morze. Minęli jachty, na których żeglarze czekali na wiatr, pomachali im rękami i wybiegli za Wyspę Wolną, na otwartą przestrzeń. Długo pędzili przez tę przestrzeń, a potem Sergiusz nagle zwolnił bieg. Lusia też zahamowała i podjechała do niego.

— Wiesz, Lusi, chcę ci coś powiedzieć... — zaczął nieśmiało Sergiusz.

— Wiem — odparła Lusia. — Ja też cię kocham. Teraz już zawsze będziemy razem.

Objęli się, ucałowali i ruszyli w stronę brzegu.

Tymczasem zerwał się wiatr i rozfalował wodę, po której trudno już było biec na łyżwach.

— Co będzie, jeśli się potknę i wpadnę do wody? — zapytała Lusia.

— Zaraz podejmę odpowiednie kroki, żebyśmy nie utonęli — roześmiał się Sergiusz.

Wyjął z kieszeni rozpylacz i flakonik płynu WWNP, a następnie spryskał odzież Lusi i swoją tym preparatem.

— Teraz możemy nawet usiąść na fali.

Usiedli więc na fali jak na kryształowej ławie, i fala poniosła ich ku brzegowi.

OBYWATELE! CZEKAJĄ WAS WIELKIE ODKRYCIA!